Malcolm Jameson

Refleksja Bullarda

(Bullard 6)

(Bullard Reflects)

Astounding Science-Fiction, December 1941
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

— Juhuuu! Jupiii! Łoooł!

Tłum szalał. Stateczni, błyszczący złotymi obszyciami kapitanowie i komandorzy podskakiwali na swoich siedzeniach i wrzeszczeli ochryple na całe gardło. Nawet obecni admirałowie zrezygnowali z dostojnego klaskania, na rzecz niepohamowanych krzyków. Marynarze wszystkich stopni ciskali czapki, rzucali się w ramiona każdemu, kto był koło nich, i zachowywali się generalnie jak jakieś dzikusy. Alan MacKay zdobył swoją dziesiątą bramkę z rzędu!

— Kastorowcy, Rycyniarze[1] – łuu, łuu, łuu! — wrzeszczały drwiąco trybuny *Polluksa*.

— Wyłupiaści Polluksowcy[2] – łee, łee, łee! — zabrzmiała szybka odpowiedź ze strony trybun krążownika kosmicznego *Kastor*. Chór ten jednak był słaby i zniechęcony. 850 do 25 w tył, pod koniec pierwszej połowy, nie był to wynik, który mógłby zainspirować sekcję dopingującą. Drużyna Oślepiające Strzały Polluksa była wniebowzięta - i to jeszcze jak!

Kapitan Bullard z Polluksa nie stanowił wyjątku od reszty. Klapnął z powrotem na swoje siedzenie, czerwony na twarzy i kompletnie wyczerpany. Struny głosowe wysiadły mu już dawno temu i teraz mógł tylko sapać oraz mówić słabym szeptem. Kapitan Ellington, dowódca oddziału minerskiego, pochylił się i pogratulował mu.

— Masz w kieszeni Trofeum Generalne — powiedział. — To już trzeci raz z rzędu, prawda? To znaczy, że je zatrzymasz.

— Tak — odpowiedział Bullard, gorączkowo. — Ale, o rany, kto by pomyślał, że uda nam się zdobyć takiego gracza jak MacKay! Poprosiłem o niego ze względu na sposób, w jaki załatwił sprawę tego poddania się Jowiszan, ale nie miałem pojęcia, że okaże się taką gwiazdą dla Oślepiających Strzał…

Potem głos Bullarda zawiódł go ostatecznie i odwrócił się, by obserwować parady między połowami meczu.

Zawody sportowe floty, zorganizowane zostały po raz pierwszy od czasu jowiszańskiego rozejmu, i były z punktu widzenia Bullarda oszałamiającym sukcesem, praktycznie od początku do końca. Wyselekcjonowani, dobrze wyszkoleni marynarze z *Polluksa* wzięli udział w każdej z głównych konkurencji. W zawodach piłki meteorowej nie mieli sobie równych, w saltach – wyczerpującej konkurencji skoków z wyznaczonego stanowiska przy wszystkich g od zera do dwóch i pół – zdobyli ponad osiemset z możliwego tysiąca punktów. Prześcignęli, wyprzedzili i zdeklasowali swoich konkurentów praktycznie w każdej z dyscyplin. A teraz, w najbardziej krytycznej próbie ze wszystkich, mieli prawdziwy spacerek. Spodziewał się zwycięstwa, oczywiście, ale nie z tak ogromnym marginesem.

---

[1] Angielskie określenie Castor, oznacza oczywiście jednego z Dioskurów, ale castor oil – to również olej rycynowy (przyp. tłum.)

[2] Ukute od Polluksa określenie polliwogs – oznacza „kijanki” (przyp. tłum.).

W międzyczasie tłum kłębił się i krzyczał na równinie, na dnie pokrytego kopułą krateru Astarotha, który stanowił boisko sportowe wielkiej Bazy Księżycowej. Kapitan Bullard złapał oddech i siedział obserwując. Dobrzy są ci moi chłopcy, myślał, wszyscy - czy to na wojnie, czy w grze. Potem poczuł kolejne dotknięcie na łokciu i pojawił się koło niego komandor porucznik Bissel, doradca komendanta.

— Z niechęcią wprowadzam poważny ton do świątecznego nastroju — przeprosił, — ale coś pilnego nadeszło przez transeter. Pamiętasz Egona Zifflera, szefa tajnej policji Imperium Jowisza – Oprawcę, jak go nazywali?

Bullard skinął głową.

— Odnalazł się, i to ze wszystkich możliwych miejsc akurat na Tytanii. Pojawił się tam kallistiańskim krążownikiem i zajął placówkę z zaskoczenia. Najwyraźniej zmasakrował cały garnizon w najbardziej nikczemny sposób; admirał rozmawia teraz z jedynym ocalałym, któremu jakimś cudem udało się uciec na Oberona. Najgorsze jest to, że znalazł się w posiadaniu naszego eksperymentalnego arsenału i poligonów…

— Tak? — zachęcił go Bullard.

— Tak. Nie zostało ono jeszcze wypuszczone, ale to śmiertelnie niebezpieczne, nowe uzbrojenie elektronowe działało doskonale i są tam setki jego egzemplarzy. Mając w rękach taką broń, będą prawie nietykalni. Tylko ekrany krążownika klasy gwiezdnej mogą się oprzeć modelowi w rozmiarach broni ręcznej, a wątpię, czy nawet one mogłyby wytrzymać ogień cięższego Marka II, którego budowę planowaliśmy.

— To fatalnie — zauważył Bullard, z westchnieniem. Wydawało się, że bez względu na to, jak wiele zadań wykonali, zawsze pojawiały się nowe kłopoty.

— Tak — zgodził się Bissel, poważnie, — jest niedobrze. Ale wykonam kilka kroków i zdobędę najnowsze informacje. Do czasu, gdy to się skończy, może będę w stanie przekazać ci pełne dossier.

Wysunął się z kabiny, a Bullard ponownie zwrócił uwagę na boisko, tyle że teraz jego myśli krążyły bardziej wokół *Polluksa*, zaparkowanego na stanowisku startowym, na lądowisku. Szybko przejrzał w myślach każdy przedział statku, a potem pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Nie potrafił znaleźć żadnej usterki. Statek był gotów do lotu. Niech tylko zostaną wydane rozkazy.

W tej chwili boisko było puste. Rozległ się gwizdek. Właśnie miała się rozpocząć druga połowa. Wydawało się to bezużyteczną stratą czasu, ale zasady były niezmienne. Mecz o mistrzostwo floty nie mógł zostać poddany, musiał być dograny do ostatniej sekundy.

Kastorowcy wyszli na boisko w nieco bardziej pogodnym nastroju. W tej połowie to oni będą mieli przewagę. Będą grać w ofensywie. Potem na boisko wkroczyli Polluksowcy, wciąż w doskonałym nastroju. Ich atutem była ogromna przewaga. Nie mogli przegrać.

Gra, w zasadzie, była bardzo prosta. Ale wymagała od graczy maksimum czujności, zwinności i zręczności. Ponadto, aby uzyskać dobry wynik, drużyna musiała nawiązać ścisłą współpracę zespołową, którą mogła zapewnić tylko długa praktyka, ponieważ trzeba było błyskawicznie

interpretować i grać na postawie ostro rzucanych sygnałów, wymagających w różnym stopniu współdziałania.

Jej podstawowe zasady były następujące: grano na boisku niewiele różniącym się układem od wymaganego przez koszykówkę, futbol czy jai-alai. Znajdowały się na nim dwie przeciwległe bramki, umieszczone wysoko w tablicach. Bramki były po prostu sześciocalowymi czarnymi otworami, w których zamontowane były fotokomórki selenowe. Półokrągła ścianka, o wysokości czterech stóp, wydzielała niedozwolony obszar u stóp każdej z tablic. Rozgrywający drużyny w ofensywie miał latarkę – super latarkę – która na każdą połowę ładowana była dokładnie do poziomu umożliwiającego wysłanie stu dziesięciosekundowych błysków światła. Światło wysyłane było cienkim promieniem o średnicy jednego centymetra, a wewnętrzny mechanizm latarki był tak skonstruowany, że operator mógł wyemitować błysk w mgnieniu oka, po prostu nakierowując ją i naciskając przycisk. Po naciśnięciu przycisku światło pozostawało włączone przez pełne dziesięć sekund, a następnie błyskawicznie gasło, co liczyło się jako jeden serwis. Chodziło o to, by trafić promieniem w otwór przeciwnej bramki. Wtedy dzwonił dzwonek, a rozgrywający zdobywał dwadzieścia pięć punktów.

Celem obrońców było przechwycenie i odbicie promienia światła – w miarę możliwości do drugiej bramki. Jeśli im się to udało, ich zdobycz punktowa była podwójna. Dla osiągnięcia tego celu, mogli korzystać z dowolnej liczby lekko wypukłych lusterek, tylu, ile uważali że będą w stanie obsłużyć. Lusterka nie różniły się jakoś specjalnie od tych, które noszą na czole specjaliści od gardła. Zawodnicy mieli je zazwyczaj zamocowane do nadgarstków, ale największe gwiazdy korzystały nie tylko z takich, ale także z poprzypinanych do pasa i na głowach. Dobrzy skoczkowie byli zdecydowanym atutem drużyny, i pięciu mistrzów kręcenia salt z *Polluksa*, miało dla niej nieocenioną wartość.

Zajęli swoje miejsca. Weems, kapitan drużyny *Kastora*, miał latarkę. Wokół niego ustawiło się dwudziestu strażników. Polluksowcy rozproszyli się na drugim końcu boiska, czekając w napięciu. Zabronione było chwytanie, przytrzymywanie i podcinanie, ale człowiek mógł paść na czworaka i sprawić, że pędzący przeciwnik potknął się o niego. To w zasadzie wszystko, jeśli chodzi o przepisy gry.

Weems wykonał kilka zwodów, aby wypracować pozycję, po czym niespodziewanie wystrzelił w powietrze, a był to naprawdę niezły skok, gdyż grali w warunkach księżycowej grawitacji. Na samym szczycie trajektorii lotu jego ręka wysunęła się do przodu i posłała wiązkę światła w kierunku celu. Uderzyła ona w tablicę nie dalej niż stopę od bramki, ale zanim sokolooki Weems zdążył przesunąć rękę, zawodnik Polluksowców już był w powietrzu i złapał promień w jedno ze swoich luster. Skręt nadgarstka sprawił, że poleciał on w drugą stronę. Źródło światła – Weems – opadał, więc szarpnął ręką, kierując wiązkę ostro w dół, gdzie jeden z jego kolegów z drużyny złapał ją i wystrzelił pod dużym kątem pod wiszącymi strażnikami Polluksowców. Strzał w dziesiątkę! I ani o chwilę za wcześnie, bo w tym momencie światło zgasło. Dwadzieścia pięć punktów dla napastników.

I tak to szło – tak szybko, że ludzkie oko nie było w stanie nadążyć. Mimo że zwyczajowo kopułę areny wypełniono wilgotnym powietrzem i rozpylono w niej zawiesinę pyłu, aby oświetlić emitowany promień na całej jego długości, trzeba było orlego wzroku, by dotrzymać mu kroku. Oczywiście grę nieustannie rejestrowała bateria kamer, a uruchamiany przez selenowe ogniwa dzwonek brzęczał od czasu do czasu, gdy trafiał w nie promień światła.

Druga połowa obfitowała w błyskotliwe podwójne i potrójne zagrania, gdzie często rozgrywający odwracał się i błyskał swoim światłem do współzawodnika bezpośrednio z tyłu, który przekazywał je przez boisko, a kolejny z graczy strzelał do chwilowo nie bronionej bramki. Ostateczny wynik był jednak na niekorzyść Kastorowców. Ich porażka była tak zdecydowana, że nie można było się o nią spierać.

Owacje trwały przez wiele minut, ale ledwie rozebrzmiał dzwonek końcowy, Bullard zdał sobie sprawę, że do swojej loży wszedł wielki admirał i usiadł obok niego.

— Gratulacje — powiedział, po czym przeszedł do poważnych spraw. — Słyszałeś już coś o tym, co dzieje się na Tytanii? Wysłałem do ciebie Bissela. To parszywa rzecz w takiej chwili zwoływać załogę i wysyłać ją na desperacką misję, ale nie ma innego statku w gotowości. Od dnia rozejmu zdaje się, że nastąpił pewien spadek dyscypliny. Czy dasz radę wystartować w ciągu czterech godzin?

— Mogę wystartować w ciągu godziny, jeśli da mi pan połączenie z całym Księżycem w systemie publicznym — odpowiedział Bullard, bez zmrużenia oczu. Nie tylko oczekiwał szczegółów akcji, ale miał na nie nadzieję. Ziffler był człowiekiem, którego nienawidził z całego serca – zdradzieckim, okrutnym i pozbawionym wszelkich zasad, pochodzącym z rasy, na którą jedynym remedium jest eksterminacja.

W ciągu pięciu minut Bullard wygłosił apel do swoich marynarzy.

— Biegiem! — tak brzmiały jego ostatnie słowa i wyłączył nadajnik.

Wypalona i splądrowana forteca Kaliban leżała bezpośrednio pod nimi. Bullard odsunął nawigatora na bok i sam przejął stery. Ustawił antygrawy na połowę mocy i powoli wytracał wysokość, ciągle przeszukując okolicę. W końcu ich znalazł. Dostrzegł stojący krążownik klasy *Dernfug*, a wokół niego na zewnątrz obozowała horda ludzi. Płonęły fosforyzujące flary i widział, że świętują. Wszędzie dookoła walały się rozbite beczki podobne do używanych jako pojemniki na mocny trunek *snahger*, a najgęstsza część rozwydrzonego tłumu skupiała się wokół innych, jeszcze stojących.

— Najpierw statek — polecił ponuro Bullard, a jego oficer artylerii – Fraser — odpowiedział tylko: „Tak jest, panie kapitanie”.

W dół strzeliła piorunująca, oślepiająca wiązka o niewiarygodnej mocy, spoczęła chwilę na krążowniku, po czym zgasła. Na ziemi pozostała tylko masa płynącego stopionego metalu, trzaskająca walcem jaskrawych iskier.

— Wstrzymać ogień! — zabrzmiał następny ostry rozkaz Bullarda. — Wielki admirał chce, by schwytano ich żywych, jeśli to możliwe. — Sięgnął po kontrolę antygrawitacji i pchnął deflektory na ostry skręt.

Polluks podszedł milę dalej do prostego lądowania na ciemnej równinie. Ludzie na statku mogli wyraźnie zobaczyć reflektory biegających w kółko bandytów i ostre odblaski, które rozbłyskiwały na gładkim terenie pomiędzy nimi. Nie było niczego, co mogłoby utrudnić postępy sił desantowych.

Ale zanim siły desantowe były gotowe do wyruszenia, ubezpieczenie zameldowało o nowym wydarzeniu. Zbliżała się grupa ludzi, którzy wyciągali ręce nad głowami w geście poddania się. Po dokładnym przyjrzeniu się, nie odkryto u nich żadnej broni, którą warto byłoby się przejmować. Nowe emitery elektronowe były podobno dość ciężkie, każdy z nich wymagał dwóch ludzi do przenoszenia i obsługi. Z każdą mniej potężną bronią weterani z *Polluksa* mogli sobie poradzić, i to bez trudu.

— Dowiedzcie się, kim oni są i jakie są ich propozycje — rozkazał Bullard. — Jeśli będą brzmiały rozsądnie, wpuścić trzech na rozmowy. Nie więcej. Ten Ziffler jest pełen oślizgłych sztuczek. W żadnym wypadku nie ufałbym jego słowom.

To nie był Ziffler, ale Skul Drosno, były wicepremier jowiańskiego reżimu, wraz z dwoma pomocnikami wysokiej rangi. Chcieli uzgodnić warunki poddania się, jak mówili. Ich wersja była taka, że zbuntowali się przeciwko okrucieństwom Zifflera i zatrzymali go jako więźnia w swoim obozie. Wymieniliby go, jak stoi, za osobisty immunitet i ogólne ułaskawienie dla swoich zwolenników. Chętnie poddaliby się procesowi, wiedząc teraz, jak zostali oszukani.

— Wpuścić ich — powiedział Bullard, choć wciąż miał drobne wątpliwości. — Porozmawiam z nimi.

Skul Drosno rozpoczął swoją przemowę. Bullard od razu rozpoznał, że to zwykła sofistyka, ale słuchał dalej. Wtedy, ku jego zdumieniu, Drosno nagle opadł na krzesło. Oczy miał boleśnie rozbiegane, a ręce niepewnie unosiły się w powietrzu. W następnej chwili padł twarzą w dół na pokład i leżał bezwładnie, najwyraźniej nieprzytomny. Jeden z jego pomocników wyglądał na chorego, zataczając się na nogach i komicznie wymachując rękoma.

„Co to za gierka!" — pomyślał Bullard i poderwał się na równe nogi. Rzucił okiem w stronę swoich ludzi i zobaczył, że jego szef, Moore, który był razem z nim, leży bez ruchu. I w tym momencie wszystko zaczęło mu się rozmywać przed oczami. Kolana mu się zachwiały, a w uszach usłyszał ostre, metaliczne dzwonienie. Walczył o powietrze, a potem się zakrztusił. Płyty podłogowe poszybowały do góry i walnęły go prosto w twarz. Potem Bullard już niczego więcej nie pamiętał.

Następnym, co usłyszał, był wysoki klekot głosu niesamowitego Zifflera.

— Czy coś takiego jest możliwe? — warknął plugawy Kallistianin. — Wielka osobistość, proszę, proszę. Oto złapałem jako więźnia niepowtarzalnego, niezwyciężonego, nieprzekupnego Bullarda – bohatera dziewięciu planet!

Bullard otworzył oczy, ignorując walenie w tyle głowy. Siedział na krześle, ze skrępowanymi rękoma i nogami, a napuszony były szef policji, który terroryzował satelity Jowisza, stał przed nim, rozradowany.

— Może wcale nie jest taki niezwyciężony — kontynuował jego dręczyciel, spokojnie zapalając papierosa i siadając na swoim miejscu. — Nigdy go nie widzieliśmy go poza jego ślicznym Polluksem. Ale teraz, kiedy mamy go w rękach, ciekaw jestem, jak dobry się okaże. Hagstund! Chodź tu!

Wielka zwierzęca postać byłego skazańca wystąpiła do przodu.

— Co ty na to? Może urządzimy sobie trochę rozrywki? Dlaczego nie wsadzić tych ludzi w skafandry kosmiczne i nie wypuścić ich na dwadzieścia cztery godziny? Potem będziemy mogli urządzić sobie polowanie. Ten człowiek, w szczególności, ma ogro-oo-mną reputację jako spryciarz. Zobaczmy, co potrafi zrobić na jałowej i pozbawionej zasobów planecie. Policzyliśmy ich, więc wiemy ilu ich jest. Ufunduję nagrodę, szereg nagród. Dziesięć tysięcy solów dla tego, kto go sprowadzi. Kolejne dziesięć tysięcy dla ostatniego człowieka z tej grupy i kolejne pięć dla przedostatniego. To będzie niezła zabawa, co?

Ziffler pociągnął łyk snahgera i zaprezentował wyszukane mrugnięcie. Bullard ani przez chwilę nie wierzył w to, że jest pijany. Ziffler był na to zbyt sprytnym łotrem. Był to gest mający na celu wzbudzenie fałszywych nadziei. Bullard wiedział aż za dobrze, czym są pustkowia Tytanii. Był tu już kiedyś. Poza portem Kaliban, arsenałem i kilkoma rozrzuconymi stacjami, które bez wątpienia zostały już splądrowane, nie było tu nic poza ponurymi, zamarzniętymi równinami, poprzecinanymi chropowatymi kraterami meteorytowymi.

— Świetnie, szefie — zgodził się jego poplecznik. — A co ze statkiem?

— Zostawcie go tak, jak jest. Nie przyślą kolejnego przez kilka dni. Nie chcę, żebyście rozrabiali w jego wnętrzu. Dajmy im popalić, a potem zabierzemy się do roboty. Mamy mnóstwo czasu.

Szorstkie dłonie postawiły Bullarda na nogi, i pod jednym z nowych i śmiercionośnych karabinów elektronowych kazały mu założyć zwykły kombinezon kosmiczny. Gdy w jego pulsującej głowie opadła mgła, zobaczył, że znajduje się w dużej hali i że pozostali marynarze i oficerowie z jego załogi byli traktowani podobnie.

— A tak przy okazji — zauważył Ziffler, nie kryjąc się. — Mówią, że jestem niemiły. Oszczędzę ci odrobinę tortur psychicznych. To, co cię powaliło, to nasz nowy proszek hipnotyczny. Jest bardzo cwany, naprawdę. Wystarczy posypać nim na przykład płaszcz, a następnie wystawić go na działanie powietrza. Wyparowuje i usypia wszystkich. Moi emisariusze też odpłynęli – naturalnie. Wszyscy oprócz jednego, który wcześniej został mocno nafaszerowany antidotum. Był przytomny na tyle długo, by otworzyć nam właz, po czym, niestety, zmarł. Było to godne pożałowania, ale w moim interesie uważam, że takie rzeczy trzeba robić.

Bullard nie odezwał się ani słowem. Był gotów. Perspektywy były niewesołe, ale widywał już inne, równie kiepskie.

— Jeszcze się zobaczymy, Ziffler — rzucił i miał nadzieję, że nie były to zwykłe czcze pogróżki. Ziffler miał reputację sadysty, ale nie człowieka odważnego. Istniała minimalna szansa, że pojedynczy psychologiczny strzał w ciemno może z czasem zostać przez niego przetrawiony i trochę go rozregulować. — Chodźmy. Wolę już wszystko, niż widok twojej gęby.

— Taaa? — odparł Ziffler, ale skinął ręką na oddział swoich osiłków.

Była tam cała załoga *Polluksa*. Wypchnięto ich przez wejście do kopuły w grupach po cztery osoby i kazano uciekać. Bullard został wypuszczony jako ostatni ze wszystkich. Ich porywacze obiecali drwiąco, że do rozpoczęcia pościgu mają cały ziemski dzień.

— Pozostać w grupie — zawołał Bullard do mikrofonu w hełmie, w chwili, gdy portal zamknął się za nim. — Wszyscy oficerowie podejdźcie do mnie.

Światło na Tytanii jest słabe, nawet w pełni dnia. Ale było wystarczająco dobre, by oficerowie byli w stanie odczytać szybkie ruchy jego palców. Ich kapitan używał języka migowego, który znali wszyscy wyszkoleni marynarze Straży Kosmicznej, i używali go w sytuacji gdy obawiali się, że ich słowa mogą być podsłuchiwane.

— W stronę bieguna — przekazał im Bullard — jakieś trzydzieści mil stąd, znajduje się krater meteorytowy. Przez kilka lat utrzymywaliśmy tam tajne laboratorium i możliwe, że te łotry go nie odkryły. To będzie nasz cel. Przy tym ciążeniu powinniśmy tam dotrzeć w ciągu kilku godzin, choć nie jestem pewien, dokładnie w jakim kierunku on się znajduje. Niech ludzie rozproszą się i go odnajdą. Powinny tam być flary i pierwszy człowiek, który tam dotrze, powinien je odpalić. Kiedy ostatnio odwiedzałem to miejsce, był tam zespół ośmiu lub dziesięciu naukowców i doskonałe radio międzyplanetarne. Broni może nie być, ale przynajmniej możemy wysłać alarm.

Szybkie machnięcia rąk potwierdziły rozkazy, i Polluksowcy rozproszyli się w półmroku.

Jako pierwszy na miejsce dotarł porucznik Alan MacKay. Miał problemy ze znalezieniem flary, ale w końcu ją znalazł i odpalił. Laboratorium było w rozsypce. Wandale znaleźli to miejsce, pomimo nadziei kapitana, i wywrócili je do góry nogami. Ciała fizyków i chemików leżały wszędzie, a zwłoki nieszczęsnego dyrektora odkryto przybite do ściany, w stylu ukrzyżowania. Podarte papiery, potłuczone szkło i splątane kable zaśmiecały podłogę. Radio było roztrzaskane prawie kompletnie. MacKay, nowy człowiek w służbie, zadrżał, ale wykonał otrzymane rozkazy.

Bullard przybył wkrótce potem, a jego twarz nie stanowiła zbyt ładnego widoku, gdy oglądał ruinę. Teraz żałował odpalenia flary. Oni

niewątpliwie też ją widzieli. Miał nadzieję ostrzec ludzi, wysłać wiadomość do całego Układu, a potem kazać swoim marynarzom rozproszyć się. Kilku z nich mogło mieć nadzieję że przetrwają bezwzględne polowanie na ludzi, które wkrótce miało się rozpocząć.

Sytuacja jednak uległa zmianie, a ponieważ każda alternatywa wydawała się równie beznadziejna jak inna, pozwolił by flara nadal się paliła. Dopóki trzymali się razem, można było zaimprowizować jakiś opór. W oczekiwaniu na pojawienie się ostatnich, zajął się układaniem na nowo podartych stron zeszytów i dzienników porozrzucanych po całej podłodze.

Duża część z nich dotyczyła rutynowych analiz, ale na stronie zapisanej czerwonym atramentem i opatrzonej numerem „97" znalazł fragment, który zwrócił jego uwagę.

"W przeciwieństwie do większości meteorytów, ten który pozostawił badany krater, nie rozpadł się przy uderzeniu – a raczej nie rozpadł się zupełnie. Odkryliśmy szereg lekko zakrzywionych jego fragmentów, wskazujących, że miał on strukturę warstwową, oraz że warstwa o jednym promieniu, o długości około trzydziestu metrów i grubości jednego cala z ułamkiem, rozpadła się na kawałki, zamiast na pojedyncze molekuły. W magazynie na dnie krateru znajduje się ponad sto takich fragmentów, sięgających nawet dwudziestu centymetrów średnicy. Zbudowane są one z substancji przypominającej jadeit, poddają się ścieraniu zwykłymi metodami i dają się przewiercić stalowymi wiertłami, a nie są twarde i ultra-gęste, jak można by się było spodziewać. Ciekawą rzeczą w przypadku tych fragmentów jest fakt, że nie poddają się one analizie rentgenowskiej. Z jakiegoś dziwnego powodu niszczą każdą lampę emitującą, która zostaje na nie skierowana. Odpowiadają one atakiem na atak, żeby to tak określić. Czy to możliwe, że…"

Strona się skończyła. Bullard gorączkowo szukał strony 98, ale nie mógł jej znaleźć. Wezwał zaufanego Bentona.

— Weź grupę ludzi i zejdź na dno, by przeszukać krater. Powinieneś znaleźć magazyn, a w nim garść nieciekawie wyglądających odłamków skalnych, które wyglądają jak jadeit. Jeśli tak, przynieś ich trochę tutaj. Szybko!

Do pozostałych stojących w pobliżu powiedział:

— Oczyśćcie wrakowisko w warsztacie i zobaczcie, czy te wiertarki piersiowe da się doprowadzić do stanu używalności. Zdejmijcie buty z trupów i potnijcie je na paski. Jak tylko to zrobicie, zdejmijcie swoje i też je potnijcie. Nie mamy czasu do stracenia.

Wkrótce wrócił porucznik Benton, a wraz z nim kilku ludzi. Wszyscy przynieśli naręcza lekko zakrzywionych kawałków szklistej substancji w kolorze mchu. Każdy z nich był dość duży, ale wszystkie miały nieregularne i poszarpane krawędzie. Bullard zbadał pośpiesznie jeden z nich, unosząc go krytycznie do oczu.

— Przyprowadźcie tu MacKaya, szybko — rzucił nagle ostro. Potem zwrócił się do Bentona. — Weź to wszystko i wywierć po dwie pary otworów w każdym z nich – tu i tu — pokazał mu gdzie. — Następnie

przymocuj paski, jak jak do tych lusterek, których używają w grze Oślepiające Strzały.

Benton popatrzył na niego dziwnie, ale już dawno temu nauczył się pokładać zaufanie w swym niezwykłym dowódcy. Ułożył w stosy błyszczące szczątki meteorytu i wyszedł wezwać swoich ludzi.

Bullard poczuł się lepiej. To, czego chciał spróbować, było szalenie ryzykowne, ale było to coś niezmiernie lepszego niż czekanie jak owca na rzeź lub beznadziejna ucieczka przez zimne pustkowia Tytanii. Był też bardzo wdzięczny, że przy okazji swej ostatniej wizyty na tym satelicie, zrezygnował z przyjęcia i balu u gubernatora generalnego, a zamiast tego odwiedził to ustronne laboratorium. Znalazł się tu bowiem krótko po eksperymentach opisanych na pojedynczej stronie, którą trzymał teraz w dłoni. Do tego czasu nie ustalono jeszcze ostatecznie struktury tajemniczej substancji krystalicznej wydobytej z krateru, ale przypomniał sobie spekulacje nieżyjących już naukowców na jej temat.

Porucznik MacKay zameldował się u niego.

— Tak jest, panie kapitanie?

— Powiedz komandorowi Moore'owi, aby zameldowali się tu natychmiast wszyscy członkowie zespołu Oślepiających Strzał, i oznacza to również ludzi z drugiego zespołu, jak i rezerwowych. Niech wszyscy inni znajdą sobie jakieś doły na dnie krateru i schronią się w nich do czasu dalszych rozkazów. Jasne?

Łobuzy z gangu Zifflera grali nie do końca fair, czego zresztą można się było spodziewać. Odłożyli broń tylko na kilka godzin. Benton, kierujący ubezpieczeniem, zauważył posuwający się przez równinę tłum. Poruszali się w dosyć zwartym szyku, jak gdyby dzięki wskazaniom czujników lub korzystając z jakichś innych środków, wiedzieli już, że ludzie z *Polluksa* nie rozproszyli się, lecz pozostają w grupie, w tym tak zwanym „Tajemniczym Kraterze".

— Zajmijcie stanowiska — rozkazał Bullard, rzeczowo.

Stał w półmroku na krawędzi krateru, w pewnej odległości od zniszczonego laboratorium. Na prawo i lewo od niego, zwycięska drużyna Oślepiających Strzał leżała za nieregularnym parapetem tworzonym przez ścianę krateru.

— Benton! — zawołał. — Rozrzuć swój oddział po obu stronach ode mnie. Kiedy ta banda będzie w połowie drogi na wzgórze, daj im posmakować ostrzału z twoich działek ogniowych. Potem schowaj się na dno krateru i ukryj się, aż ogłoszę, że „wszędzie czysto".

Benton znalazł w szopie warsztatowej osiem starych działek ogniowych. Od wielu lat były one już przestarzałe jako broń bojowa, ale mogły spowodować paskudne poparzenia.

Kapitan Bullard jeszcze raz przyjrzał się nadchodzącej grupie, która na nich polowała. Zobaczył, że przynieśli ze sobą kilka nowych karabinów elektronowych i zaczęli się z nimi szarpać, próbując wtaszczyć je pod górę. Rozwrzeszczany tłum dotarł do czegoś w rodzaju skalnego występu i

czekał, aż broń zostanie tam doniesiona. Jeden z drwiących głosów, głośniejszy od pozostałych, zawołał:

— Czy zejdziecie tu do nas żeby dostać co się wam należy, wy wszarze, czy też będziemy musieli wdrapać się tam i was dorwać?

— Teraz! — powiedział Bullard przyciszonym głosem do swojego mikrofonu.

Osiem słabowitych maszyn cieplnych plunęło swymi nędznymi wyładowaniami, po czym zamilkło natychmiast, gdy ich operatorzy porzucili je i zsunęli się po wewnętrznej ścianie krateru w bezpieczne miejsce. Dobrze, że Bullard przewidział odpowiedź, jaką otrzymają, bo kontruderzenie nadeszło niemal natychmiast. W dole rozbłysło całe mnóstwo jasnych gwiazdek, z których poszybowały w górę cienkie strumienie niemalże niewidocznego fioletowego ognia i trafiły w występ skalny wzdłuż krawędzi krateru. Skała zaczęła się żarzyć, a kilka cali jej powierzchni stopiło się i spłynęło w dół zbocza jako bulgocząca, iskrząca się żużlem lawa, gdzie szybko schłodziła się do czerwoności i stwardniała.

— Teraz? — zapytał MacKay z niepokojem. Kucnął obok kapitana.

— Jeszcze nie. Poczekaj, aż będą bliżej.

Nawałnica strzałów trwała przez chwilę, potem ustała. Bullard wyjrzał ostrożnie i zobaczył, że Kallistianie podjęli ponownie wspinaczkę.

— Jak najpaskudniej można nazwać Kallistanina? — wyszeptał Bullard, szczerząc się od ucha do ucha, niewidoczny w ciemności. — Znasz ten język.

— *Froahbortlen* — odparł MacKay bez wahania. Język Kallistian był bogaty w epitety, ale ten należał do najbardziej obraźliwych i jednoznacznych, jakie kiedykolwiek ukuto w jakimkolwiek języku. Nawet zdeprawowany przestępca najniższej klasy miałby o niego pretensje.

— Zaproś ich na górę — polecił Bullard, twardo. — Kiedy odpowiedzą, róbcie swoje.

— Przygotować się, panowie — ostrzegł MacKay swoich kolegów z drużyny. Potem zwiększył głośność mikrofonu i wystosował swoje ogniste, paskudne, obraźliwe zaproszenie.

Bullard mimowolnie wciągnął powietrze. Kości zostały rzucone. Przez chwilę złapał go w swe ramiona jeden z tych dreszczy niepewności, które rzadko go nawiedzały. Czy miał rację, czy też poniosą klęskę? Która strona padnie ofiarą właśnie mającej się rozpocząć masakry? Cóż, za kilka sekund tego się dowie.

Właściwości dziwnej substancji z meteoru wciąż były nie do końca znane. Zatrzymywała ona promieniowanie gamma i inne twarde promienie. Niszczyła skupione na niej lampy rentgenowskie. Czy byłoby to możliwe, gdyby nie posiadała również tej długo poszukiwanej, lecz nigdy jeszcze nie napotkanej właściwości, polegającej na zdolności do odbijania wiązek molekularnych?

Hełm MacKaya wciąż jeszcze wibrował ostatnimi paskudnymi słowami jego wspaniałej przemowy, gdy w odpowiedzi nadeszła salwa elektrycznego ognia. Jednak tym razem na jego przyjęcie czekało coś więcej niż tylko martwa skała. Na szczycie krateru stał rząd czujnych młodych ludzi, tworzących bardzo dziwnie wyglądającą ekipę. Do

nadgarstków, czół, pasów, a nawet kostek mieli przywiązane lśniące kawałki skały. Momentalnie zaczęli skakać, tańczyć i wykręcać się, jak jacyś szaleni derwisze, zręcznie parując każdą fioletową wiązkę, która przemykała ponad rozciągającą się pod ich nogami skałą. Niszczycielska energia odbijana była z powrotem tam, skąd nadlatywała.

Złoczyńcy musieli być zdumieni tak szybkim ogniem zwrotnym ze strony ludzi, których uważali za kompletnie rozbrojonych, ale kontynuowali zajadle jeszcze przez kilka sekund. Potem ich ogień całkowicie ustał, a obserwatorzy na krawędzi krateru byli w stanie dostrzec tylko kilku przerażonych ocalałych, którzy zmierzali w dół drogą, którą przyszli.

— Szkoda, że nie mamy broni — westchnął Bullard. — Moglibyśmy zmieść ich do czysta.

Wyciągnął latarkę i zszedł w dół zbocza. Wiele z porzuconych działek elektronowych stało na trójnogach lub leżało poprzewracane przez uciekających gangsterów.

Coś miękkiego ugięło się pod butem Bullarda. Poświecił latarką po ziemi, ujrzał widok, który w innych okolicznościach byłby odrażający. Wszędzie porozrzucane były dłonie i stopy, przyczepione do zwęglonych kikutów rąk lub nóg. Wśród nich leżały inne, mniej rozpoznawalne fragmenty zdezintegrowanych ciał ludzkich. Oddział osiłków Zifflera, niegdyś postrach planet zewnętrznych, został rozproszony w najpełniejszym tego słowa znaczeniu.

Bullard podkręcił wzmacniacz.

— O.K., Moore. Zbierz ludzi i sprowadź ich na dół. Wracamy.

Droga powrotna przez lodowe pustkowia wydawała się znacznie krótsza i łatwiejsza niż podczas podróży w drugą stronę. Serca ludzi były teraz lekkie, a nie wypełnione ołowiem jak wcześniej. Dla Polluksowców świadomość, że utracili swój statek, była równie przygnębiająca, jak pozorna pewność, że czeka ich zagłada. Teraz to wszystko się zmieniło. Milę przed nimi leżał Polluks, tak jak go zostawili.

Poszukiwanie Zifflera i resztek jego ludzi zajęło trochę czasu, ale znaleźli ich, skulonych za jakimś głazem i skomlących o przebaczenie.

— Zakuć ich w kajdanki i wrzucić do brygu — warknął Bullard i wszedł na swój statek.

Chwycił notatnik sygnałowy i napisał krótki raport.

Nieco później wielki admirał w Bazie Księżycowej wyciągnął rękę po skromny kawałek żółtego papieru, który przyniósł mu jego ordynans. Przeczytał go, a potem przeczytał jeszcze raz. Zmarszczył lekko brwi i podrapał się po głowie.

— Czy Bullard stał się takim wysublimowanym efekciarzem, czy co do cholery? — zapytał, podrzucając wiadomość Bisselowi. Bissel wziął ją i przeczytał:

„PO ODROBINIE REFLEKSJI WRÓG SIĘ PODDAŁ. BULLARD.”

KONIEC